



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł – 8 stron

Warszawa, 14 sierpnia 1955 r.

Nr 33 (281) Rok VI



Rys. Marian Bogusz

W zakresie ludzkich możliwości

Zyjemy w niezwykłym okresie. Każdy dzień przynosi rewelacyjne wiadomości, z których każda ma znamiona nowej epoki. W Kopenhadze zakończyła się wielka konferencja Astronautów, która omawiała problemy budowy sztucznego satelity Ziemi oraz zagadnienia lotów międzyplanetarnych. Uczony angielski R. Presslie podał do wiadomości, że na powierzchni księżyca mogą się znajdować pewnego rodzaju mchy i porosty, z których można będzie wytwarzać antybiotyki.

Na Marsie będą mogły być zbudowane sanatoria, w których leczone będą choroby serca i dróg oddechowych. Siła ciążenia na Marsie jest mniejsza niż na ziemi, co ułatwiłoby leczenie wymienionych schorzeń.

W Genewie z udziałem 1260 delegatów i 800 obserwatorów rozpoczęła się konferencja w sprawie zastosowania energii atomowej do celów pokojowych. Na specjalnej wystawie, zorganizowanej z okazji tej konferencji, zostały m. in. pokazane „recepty magiczne”. Są to urządzenia pozwalające wykonywać z odległości najbardziej precyzyjne manipulacje z substancjami promieniotwórczymi szkodliwymi dla zdrowia. Znamy też działania tzw. mózgów elektronicznych, które ostatnio zostają przystosowywane do błyskawicznych, choć jeszcze niedoskonałych tłumaczeń z języków obcych.

Narodziny epoki? Tak, niewątpliwie. Trudno mówić dziś o jej wielkości i o tym, co wniesie do historii ludzkości. Kunszt metaforyki załamuje się wtedy, gdy trzeba mówić o zagadnieniach w pełni nierozstrzygniętych, bliżej nieokreślonych i przekraczających dotychczasowe pojęcia. Jednakże śmiało można stwierdzić, że będzie to epoka niezwykła przez sam fakt, iż wyruguje wojny. Będą optymistami i stwierdzimy, że wszystko do tego prowadzi. Aczkolwiek nie są to sprawy bynajmniej proste i wymagają dużej dobrej woli, niemniej jednak są to sprawy leżące w zakresie ludzkich możliwości. Premier Eulganin w Genewie, na konferencji, która w pewnej mierze jest kontynuacją Układów Poczdamskich sprzed dziesięciu lat, oświadczył, że „Rząd Radziecki przyjął propozycję

trzech mocarstw w sprawie zbrojeń typu klasycznego. Mamy obecnie prawo oczekiwać, że ze strony tych mocarstw powinien być podjęty krok zapewniający porozumienie w sprawie zakazu broni atomowej, co umożliwiłoby postawienie całego problemu rozbrojenia na realnym gruncie”.

6 sierpnia 1955 roku, o godzinie 8.15 dokładnie w chwili, gdy przed dziesięcią laty wybuchła nad miastem bomba atomowa, burmistrz Hiroszimy Tadao Watanabe wypuścił w powietrze 500 białych gołębi symbolizujących pokój. Zabrzmiały żalobnym tonem dzwony. Cała ludność miasta uczciła pamięć ofiar chwilą milczenia. Rodziny osób, które zginęły przed dziesięcią laty, złożyły kwiaty i wieńce u stóp pomnika ofiar bomby atomowej, na którym widnieje napis: „Spoczywajcie w spokoju. To nie powtórzy się już nigdy”.

Epoka atomowa rozpoczęła się od zbrodni. Legendarny Prometeusz, który wydarł bogom światło, został za karę przykuty do skał Kaukazu. Uczni, którzy przyczynili się swymi badaniami do wyprodukowania bomby atomowej, dopiero ponieważ w tym czasie zrozumieli, że popełnili w najlepszej wierze zbrodnię przeciw ludzkości. Wielu z nich publicznie potępiło zastosowanie energii atomowej dla celów wojennych. Epoka atomowa rozpoczęła się od zbrodni, lecz rozwinęła się ona dzięki siłom pokoju. Na wielkim pochodzie w dniu otwarcia V Festiwalu wśród delegacji innych narodowości przemaszzerowali Alejami Jerozolimskimi Japończycy. Niesli transparent: „No more Hiroshima”. To zawołanie stało się hasłem wiece młodzieży, która na Rynku Staromiejskim protestowała przeciwko wojnie w rocznicę tragicznego wydarzenia w Hiroszimie. I kiedy na trybunie znalazł się mieszkanie tego miasta, Jukio Matoyasi, we wszystkich językach zabrzmiało jedno słowo: „Pokój”.

O wielkości naszej epoki będą pisać nasi synowie, my w skromnym zakresie chcemy się do niej przyczynić. Przyczyniamy się walcząc o pokój. Stara oklepana prawda, wielokrotnie powtarzana do tego stopnia, że może zabrzmieć, ale która z wielkich prawd nie jest banalna i prosta?

K.

ARNOLD ŚLUCKI

Wiersze o pięknym sierpniu

CHIŃSKI CYRK NA BIAŁOŁĘCKIEJ

Na ulicy Białoleckiej,
gdzie drewniane domki,
słoneczników płoną
przeświecone rzęsy.
Plakat tam wisi:
na skrzypcowym kluczu
słowik —
gdy uleci,
klucz podmucha domknie,
parkan się rozśpiewa,
liść o liść uderzy,
i pobiegna drzewa:
chiński cyrk przyjechał,
chiński cyrk ze Smokiem
śmieszynym, złotogłowym,
wije się na deskach
z podwarszawskiej sosny,
wije się, zapala
płomieniem zielonym,
deszcz go nie ugasi,
siedem rzek, ni cesarz,
tylko kruczy warkocz
na dziewczęcej szyi.
Mieczy dwa błyskają,
szable dwie igrają
w nadwiślańskim słońcu,
niby dwa zaskrońce.
Ulicę Białolecką,
gdzie drewniane domki
dobrą mają pamięć,
już nie przejdzie inna,
jak słoneczna zamięć...

ARAB

W białym zawoju na głowie
opustoszała aleja
szedł, świecił mu gwiazdy
warszawskie.

Była godzina dwunasta
w nocy, czas kiedy pamięć
niczym skrzętny fotograf
wywołuje swe klisze.

Cień na trotuarze
od topól
układał się ciszej.

Dziewczyna podeszła,
notesik
wyciąga, prosi o autograf
Araba z twarzą poety.

Lecz on odpowiada:
dziewczyno,
jestem tylko zwyczajnym
członkiem związku tragarzy
z Nazaretu.

DZIEWCZE Z HIROSZIMY

Na Starym Rynku
w tunice
w wielkie motyle
szła, mówili: dziewczę
idzie z Hiroszimy.

Już dziesiąty sierpień
do nas, mówią, płynie
poprzez morze cierpień.

GDYBY...

Gdyby
radziecka rzeźbiarka,
Wiera Muchina,
żyła,
widziałaby tę parę,
jak trzyma się za ręce,
ona twarzyczkę ma z miedzi,
on niczym czarny słonecznik.
Kamień by ich uwiecznił:
jego, gdy stopą dotyka
bruku Marszałkowskiej,
ją, odwróconą do słońca,
gdzie pocisk wycięty w tekturze
wisi wysoko,
prześwieca
nagi szkielet
z żelaza.
Golał się po nim przechadza,
przeskakuje z nóżki na nóżkę,
po gołębiemu tłumaczy
to, co zobaczył
z góry.

„POULSKA”

Powiewała białą chusteczką
w czarnej piąstce.
Wołała: P o u l s k a, P o u l s k a,
po murzyńsku
kłaniała się Polsce.

Główkę kędzierzawą
pochyliła nisko.
A Wisła widziała, rozumiała
wszystko.

Wieś na równinach

(OD SPECJALNEGO WYŚLANNIKA „NOWEJ KULTURY”)

Ze wszystkich zmysłów najwerniejsze są oczy; one tworzą pamięć. I kiedy teraz stojąc przed pawilonem białoruskim na Wystawie Rolniczej w Moskwie przymykam na chwilę powieki, widzę bezkresną równinę, zgłodnieniedzień przeciąga kępą olśnysz lub brzoź, wieś kołchozową z czapami słomianych strzech, studzienne żurawie i czarny wiatrak, podobny z oddali do małego pajęczka. Pogodny dzień lipcowy pachnie sianem, na polnej drodze turkot kołchoźnych wozów. Leniwie, jakby z niechęcią zjeżdżają w bok, gdy zniciercipliwiony kierowca żąda sygnałem przejazdu.

Białoruś! Jest jakaś nostalgia w krajobrazie tej ziemi, bliska nam, ludziom Mazowsza. Te same co i u nas niebogate drewniane wsie z jarzębiną przy płocie, a pod oknami malwy. Podmokłe łąki z wąskimi strugami. Na polach — żyto, ziemniaki, siny nieodrojrzały jeszcze owies, rzadziej ciężka w kolorze miosiadzu pszenica. I gryka jak śnieg biała. Niebieszczy się len. A wokół równina, nieogarniata wzrokiem równina. Skraj sosnowego zagajnika pełen jest poziomek. Samotne strzeliste sosny sterczą niby maszty ciśniętych na brzeg łodzi; ich czuby szerokie jak pawie ogon mienia się słońcem.

Równina przed nami, w którąkolwiek byś stronę nie spojrzal — równina. Pod łąkami torf.

Na widnokręgu cieniutka smużka: droga kolejowa. Ku Moskwie.

*

Zostawiliśmy poza sobą Słuck,
powiatowe miasteczko drewnia-

ornej. Łąk — 815 ha, pastwisk — 696 ha, lasów i zagajników — 265 ha. Z powodu niedostatku ziemi ornej kółchoz nastawiony jest na gospodarkę hodowlaną, głównie trzody chlewnej.

Przyjmuje nas przewodniczący Siergiej Siemionowicz Poleszczuk, tegawy, lysyjący, w średnim wieku mężczyzna. Oczy ma dziwne, tak jasne, niebieskie o naprawdę niespotykanej barwie, że każdego to uderza. Oprowadza nas po gospodarstwie, spokojnie tłumaczy i wyjaśnia. Przewodniczącym jest od pięciu-lat, w czasie wojny był żołnierzem, zna Polskę, przez którą ciągnął na Berlin ze swą dywizją pancerną, wchodzącą w skład frontu, dowodzonego przez marszałka Żukowa. Pyta o Warszawę i Poznań. Warszawa jest zresztą w tych dniach na ustach wszystkich. Za interesowanie otwarciem Pałacu Kultury i Nauki jest olbrzymie. Pytają nas o niego i kolchoźnik, i napotkany w Minsku znany dramaturg Mowzon, autor sztuk i scenariusza filmowego o Konstantym Zaslonowie, i kierowca taksówki, którą jedziemy do teatru i robotnik fabryki traktorów, któregośmy przypadkiem poznali w parku z córką, malutkim bobakiem o czarnych ślepkach. Ci, którzy znają Moskwę, usiłują dowiedzieć się od nas o różnicach między naszym wykoścłowcem a tymi sześcioma w stolicy ZSRR. Moskwę poznajemy na koniec naszej podróży, możliwość porównania zostawiamy więc dla siebie.

Poleszczuk zna Warszawę z jej tragicznych dni 1945 roku, pamięta kamienną pustynię. Trudno mu więc zestawić sylwetę Pałacu z

1 612 rubli. W porównaniu jednak z latami poprzednimi, wzrost dochodu widoczny. Przed pięciu laty kolchoznik z Miesleszek otrzymywał oprócz naturaljów tylko 75 kop. za trudnodzień! Wszystko tu jest odnowudowane od podstaw, chłopci wrocili bowiem po wojnie do gołej ziemi. W przeciągu pięciu lat dochód kolchozu wzrósł pięciokrotnie i w roku ubiegłym osiągnął dwóch milionów, dwustu tysięcy rubli. Mieszkańców kolchozu liczy 1485, z czego pracujących 685. Charakterystyczną cechą Białorusi jest, że większość pracujących to kobiety. Spotyka się je na kolejach, fabrykach, drogach, restauracjach czy magazynach. W kolchozie kobiety stanowią dwie trzecie liczby pracujących.

Poleszczuk prowadzi nas przez nowowyprowadzone przestronne obory, potem przez swiniarnię. Poznać, że to jego duma. Bez zażenowania mówi o brakach. Mówi jak człowiek, który zaażuje sobie sprawę z tego, jakie są jego zadania. Skończyła się słoma w kółchozie, zastępują ją trocinami. Mleczność krów jest mierna i wynosi zaledwie 1543 litry od sztuki rocznie, za to świnie, ho, ho, ho! Jaśniej twarz Poleszczuka, gdy prowadzi nas na fermę trzody chlewnej. Na wybiegu dwudziestopudowa maciora, przeznaczona na sprzedaż, kryje się w cieniu budynku i sapie wygodnie rozłożona w niskich lebiadach. Z tuczu kółchoz miał w roku ubiegłym 347 tysięcy rubli zysku, nic wieć dziwnego, że Poleszczuk przede wszystkim chwali się osiągnięciami na tym polu. W tym roku przewiduje dalszy wzrost dochodu.

Fermy hodowlane, położone tuż przy kanale, zajmują sporą przestrzeń i budowane są z rozmachem. Urządzone nowoczesnie, wyposażone zostały w automatyczne poidła i kolejkę do przewożenia karmy. Zrobione to wszystko jest prosto po gospodarstwu, z wyraźną tendencją oszczędzania kolchoźniczego rubla. W „czerwonym kaku”, izbiernie przeznaczonej na narady brygad hodowlanych wisi gazетка ściennej. Pisana ręcznie poza artykułami o tematyce ogólnej, politycznej czy gospodarczej, wyciętymi z gazety przynosi wiadomości z kolchozu. O brakach i osiągnięciach. Dużo to fotografii robionych przez kogoś w widocznym zamilowaniu, fotografii obrazujących życie kolchozowe.

Mijają godziny. Połeszczuk jest niezmordowany, pragnie nam wszystko pokazać, nieomal każdą sztukę bydła. Ale trzeba przecieź wracać — jeszcze chwilę rozmawiamy parując na wielkim placu, obsadzonym kukurydzą, położonym przy drodze, który w przyszłości ma być kolchozowym centrum. Stoi przy nim budyneczek zarządu z wielkim drewniak mieszczącym kłosa. Znajduje się w nim sala zebrania będąca jednocześnie kinem kolchozu, świetlica, czytelnia, biblioteka. Obok wysokie maszty radiowe! Przejżdżają drogą ciężarowe ZIS. Kolchoz ma ich pięć. Przed budynkiem zarządu stoi kolchozowiec „Pobieda”. Patrzając na samochody natarczywie, czy ktoś tu, w okolicy, sprawił sobie „Moskwiczka za 9 tys. rubli? Wymieniał mi na zwisako; zootechnik z wiesiejskiej MTS-u, który obsługuje kolchoz. Ale najpopularniejszym środkiem lokomocji staje się na wsi białoruskiej rower. Widziałem w miasteczku „Uniwermagu” kołchoźników z niecierpliwością zdzierających pakowania. Badali starannie i z zapałem, czy rower jest w porządku, pobrzkiewali dzwonek, sprawdzali hamulce i na próżno kręćli pedałem. 600 rubli kosztuje taki „Mińsk”. Przy stoisku niby był ruch, trzeba przyznać, że rowerów nie zabrakło. Coraz więcej sprzedawców zabrało się do gązdyny, zapotrzebowanie okazało się duże. A teraz dziewczęta udoju w Mielezskach przyjeżdżają na rowerach, pochylone nad kierownicą, boso, w czarnym fartuchu. Na nasz widok prostują się, patrzą z ciekawością kto przybył. Kolchoz rzadko odwiedział się go-

obrazem, jaki wyniósł ze strzaskanego miasta. Odbudowę Warszawy tłumaczył mu przykładem Mińska. Kiwa półspieszną głową, zrozumiał. My, ludzie przebytej wojny, znamy dobrze prawdę skrótów, w nich wyraża się nasze doświadczenie. A historia Mińska podobna jest historii powojennej Warszawy. Miasto zniszczone niemal w osiemdziesięciu procentach, dziś tętni życiem. Nowe miasto, które powstało w miejsce starego.

Idziemy wzdłuż kanału odwadniającego, przy jego budowie trwają intensywne prace. Ludzie z łopatami stoją przy koparkach. Kanał będzie miał osiem kilometrów długości i odprowadzi zbędne wody do rzeki Słuczy. Kołchoźnicy budują go własnymi siłami, jednak z wydatną pomocą przychodzi państwo i wypożycza odpowiednie maszyny na takich samych zasadach jak z MTS-ów. Istnieją bowiem na Białorusi specjalne ośrodki maszynowe — MMS (maszynowo — melioracyjne stacje), wyposażone we właściwy sprzęt. Kanał będzie całkowicie gotów w przyszłym roku, służy spiętrzą wody i pozwoli na utworzenie basenów. Jeden z nich przeznaczony jest na ośrodek pływaków.

Odwodnienie łąk pozwoli na zwiększenie bazy paszowej. Już teraz buduje się nowe obory i świerniarnie, i przygotowuje do silosowania na kizorki. Jedynym bowiem sposobem zwiększenia stopy żywienia kółchożników jest dalsze poszerzenie hodowli. Z samej ziemi nie wyżyją i dlatego terazniejszość wcale nie jest lekka. Dniówka o brachunkowa ni-wysoka: 1,2 kg ziarna, 7 kg kartofli, 1,2 kg siana

czy się data 3 lipca 1944 r. Bowiem w tym dniu grupy pantyżanckie, które wkroczyły do Mińska, jak też i armie pancerne, które go wyswobodziły – przysły na ziemię spaloną. Pejzaż Mińska podobny był leśnej porębie, czarne ruiny przy pominąły ścięte pniki. Palily się przedmieścia. „To co tutaj widzę, to jakaś ogromna płatnina ruin – pisze w swych wspomnieniach mińszczanin, Jerzy Putrament. – Ludzi prawie nie ma. Idę przed siebie, starając się wybrać kierunek do śródmieścia. Metoda prosta – trzeba szukać wyższych ruin. Z każdym krokiem staję się bardziej pouiry. Cóż to za miasto ten Mińsk z połowy lipca 1944!” Wszystko trzeba więc było zaczynać od nowa. Ludzie zamieszkali w barakach, ruinach i „pałatkach”. Mińsk był wtedy miastem namiotów. Dziś jest wielkim przemysłowym centrum kraju. Białoruś po wojnie przeżywa drugą rewolucję, sądzi, że o wiele intensywniejszą aniżeli pierwszą, tę do 1941 roku. Charakteryzuje ją burzliwy rozwój przemysłu, nieznanego dotychczas w historii tych ziem – powstały i pracują w Mińsku wielkie kombinaty, zatrudniające dziesiątki tysięcy robotników: fabryka samochodów ciężarowych „Żubr”, przeznaczonych głównie dla budowni-

stwa, fabryka traktorów „Białoruś” i dla leśnictwa MTZ 2, ciężkich jak czołgi, fabryki — łożysk kulowych, obrabiarek im. Woroszyłowa, motocykli i rowerów, dwie fabryki radioodbiorników i telewizorów, przemysł przetworów spożywczych: południowo — wschodnią część miasta, położoną na płaskach wśród sosnowych lasów stała się terenem zakładów przemysłowych, których budowa nie została jeszcze zakończona. Mińsk wchłaniał nowych ludzi i wchłania ich nadal, a budownictwo miejskie — jak zwykle w takich wypadkach — nie nadąża za tempem uprzemysłowienia, znamy to zresztą zbyt dokładnie z własnych doświadczeń, by się szczególnie o tym rozpisywać.

Przemiana struktury gospodarczej nie może się odbyć bez wstrząsów jednostronności. Mińsk rozwija się wspaniale, rozwiązując architektonicznych i urbanistycznych może mu śmiało pozazdrościć Warszawa. Szereg pięknych ulic, nowych wspaniałych gmachów, sportowiska, zieleni, jakis wielkomiejski rozmach czynią z Mińska miasto, w którym człowiek dobrze się czuje. Mińsk rozwijał się to prawda, ale kosztem białoruskich miasteczek, które pozostały zaniedbane, drewniane (co gorzej zapuszczone. Stołpce, Mińsk, Karelitz, znane z „Pana Tadeusza” to prawie wsie. Tym więcej szkodzi kontrastem jest przepych Mińska, choć przy tym wszystkim stolica Białorusi jest miastem polskim, co odbija się na zdobnictwie, zbyt barokowym jak wnętrze chałup wiejskich bogaczy. Mińsk ma jeszcze jedną ważną cechę —

(Dokończenie na str. 7)

Przyjaciele spotykają się na Festiwalu



Paul Wiens.

Byt to jeden z tych przemiotnych festiwalowych wieczorów, który za jednym stołem zgromadził przedstawicieli wielu krajów. Byli tam Polacy, Grecy, Bułgarzy, Czeši, Rumuni, Holendrzy, Egipcjanie i Niemcy – pisarze, artyści i dziennikarze, goście honorowi festiwalu. W tym trzech laureatów międzynarodowego konkursu w dziedzinie literatury i muzyki.

Jeden z nich to znany już polskim czytelnikom poeta grecki Afanis Parnis. „Nowa Kultura” drukowała wiersze tego poety ze wstępem W. Woroszyńskiego. Urodzony w 1924 r. A. Parnis jest już dziś chlubą literatury greckiej. W czasie okupacji hitlerowskiej występował szeregi partyzantów i oddał walcząc zażółcone od upadku rewolucji greckiej. Z ułomowania ocalał i wolności, z nienawiści do fasyzmu i krzywdy społecznej zrodziła się jego poezja pełna gniewu, winny miłości. Utwory dramatyczne, a szczególnie poezja Parnisa, jego poematy „Opowieść o ostatniej przemianie”, „Słowo o Belojannisie” są oceniane bardzo wysoko i tłumaczone na wiele języków.

Na obecnym konkursie festiwalowym Aleksi Parnis otrzymał miejsce w dziedzinie poezji. Na pytanie, jak mu się podoba Warszawa, A. Parnis odpowiada, że marzy, mu się cykl wierszy Polsce, która zrobiła na nim duże wrażenie. Zapewne będą to wiersze związane z festiwalem, ale głównie o Polsce. Sama Warszawa nie tyle podoba mu się, ile wzrusza go. Na dowód Parnis pokazuje wiersz, który powstał z tego wzruszenia już w pierwszym dniu przyjeździe do Warszawy. Wiersz nosi tytuł „Witaj Warszawo”. Później pierwszy Parnis widzi zburzone miasto. Jest pełen uznania dla dekoratorów festiwalu, którzy zmieścili w najciekawszych punktach miasta wielkie plansze fotograficzne, dające możliwość porównania Warszawy obecnej ze stolicą roku, jaką była w 1945 r.

Agamemnon Makris rzeźbiarz grecki i jego żona Zizi Makris grafik (II nagroda) również wyrażają uznanie dla dekoracji festiwalu, zwłaszcza dla plakatu polskiego. Dużo w nim fantazji i dobrego smaku, mówi Zizi, przyjemne dla oka zestawienie kolorów i wykorzystanie elementów ludowych. Tę opinię słyszy się zresztą powszechnie.

W trakcie naszych pogawędek przychodzą Nazym Hikmet i od razu rozmowa staje się ogólna. Nazym Hikmet proponuje, aby każdy z obecnych poetów zarecytował swój wiersz w języku ojczystym. Recytuje więc Ewa Fiszor po polsku, T. G. Maioreanu po rumuńsku, Alexis Parnis po grecku, Charles Dobrzyński po francusku, Stefanow po bułgarsku i Nazym Hikmet po turecku. O nowej Warszawie, tęsknocie za krajem, o zaodróżności, o młodości świata i miłosnych cierpieniach. Nie rozumiemy słów, słyszymy tylko ich odczuwamy rytm, muzykę słów. Zaczynamy pół przyjacielską rozmowę, pół wywiad, z niemieckim poetą Paulem Wiensem o zmianie społecznych funkcji poezji. Paul Wiens przekonany jest, że dalszy rozwój poezji przy równoczesnym coraz większym upowszechnieniu radia i telewizji pójdzie w kierunku większego rozwoju poezji pieśniowej, natomiast filozoficzna poezja mniej się będzie rozwijać. Poeci jak ongi trubadurzy staną się recytatorami własnych utworów.

Na czym oparte jest to przekonanie? Na odczuciu poważnego kryzysu, jaki przeżywa współczesna poezja liryczna. Był to zresztą temat bardzo zaciętego sporu koleżeńskiego z Fühmannem (niemiecki poeta, autor słynnego poematu „Die Fahrt nach Stalingrad”), który twierdzi, że nie istnieje kryzys liryki w twórczości poszczególnych poetów.

Problem ten był dosyć szeroko dyskutowany na 4-dniowym spotkaniu 15 niemieckich poetów, w którym nieskrępowani żadnymi zasadami i regulaminem mogli oni dokonać wymiary zdań. Już przeszło od półtora roku — mówi Paul Wiens — tj. po powrocie z wyjeżdżki po ZSRR w 1953, gdzie była grupa 10 pisarzy, przeszliśmy od bezpłodnego teoretyzowania do dyskusji nad szczegółowymi zagadnieniami, wychodząc od konkretnych utworów. Paul Wiens sądzi, że podobna sytuacja istnieje w innych krajach np. Posner bawiąc w Berlinie na zapytanie dziennikarki — o czym dyskutują pisarze i artyści paryscy, odpowiedział: „Otworzą“.

Niemieccy pisarze odczuwają zmęczenie ciągłym teoretyzowaniem co wiąże się u nich z ogólnym stanem krytyki, który jest przedmiotem poważnej troski Związku Pisarzy. Jednym z tematów dyskusji ub. obok zaradnień poezji była własna sytuacja w krytyce. W Związku Pisarzy odbyła się nawet specjalna konferencja, referat wygłosił J. Bacher. Starsi i co najpóźniej krytycy odeszli do zagadnień historii literatury, bieżącą twórczością nikt się poważnie nie zajmuje. Kilku młodych krytyków interesujących współczesną literaturą stosować zbyt wąskie kryteria; powierzchowność oceny, brak analizy otę grzechy główne ich praktyki krytycznej. Wiele jeszcze przeźranych tematów poruszyliśmy z Pauliem Wiersem, zwłaszcza, że zna on trochę naszą polską poezję. Thumacz wiersze M. Jastruna, T. Różewicz. Uważa, że w ogóle należałoby się stanowić się nad formami wiersza zbliżenia młodych pisarzy polskich i niemieckich. Takie zbliżenie i bliższa współpraca np. dziedzinie filmu mogłaby dać piękne rezultaty.

W chwili obecnej organizacja saryz niemieckich przygotowuje do zjazdu, na którym ma być dokonana ocena 10-letniego okresu rozwoju literatury w NRD.

I Jeszcze: jedno pytanie: jak uglądają kontakty z literaturą Niemiec Zachodnich. Jeszcze dwa tematy rozdział był zupełny. Pisarze z NRD nie interesowali się szczególnie tym, co się tam dzieje. Teraz więcej interesują się, ale udują u siebie bardzo mało, grzechodnie wydawnictwa stawiają bardzo wygórowane warunki.

O festiwalu Paul Wiens mówi krótko — jest lepszy i głębszy poprzednich. Więcej takich spotkań z różnymi krajami, różnymi poglądami, a następne pokolenia dadzą szczęśliwie.

To jeden z niezliczonej ilości festiwali wieczorów, a na których ludzie różnych krajów, zawodów i poglądów mogą się bliżej poznać i przyjaźnić. A przyjaźń zawarta w festiwalu to przyjaźń, której nigdy się nie zapomina.

TK.



Białoruska Akademia Nauk w Mińsku.

Fot. M. Sołowiejczyk



Rys. Pieter van Leeuwen

HEINRICH GOERES

Miasto młodości



Z występów zespołu sudańskiego. Taniec gołęb.

Rys. A. Zaborowski

Obywatel niemiecki, będący po raz pierwszy w Warszawie, z wielkim zainteresowaniem i uwagą przygląda się wszystkiemu, co w tym mieście obiekto się w kształt (licząc od zakończenia wojny). Oczywiście, w chwili obecnej Światowy Festiwal Młodzieży zmienił oblicze miasta, i o tym nie

skie — obok pałaców dawnej magnaterii, kościoły — obok świeckich budynków najrozmaitszych stylów i epok nie sprawiają wrażenia eksponatów muzealnych, chociaż zostały odbudowane pod rygiem skrupulatnego zachowania dawnych form. A że współczesność domagała się swoich praw i nowe przeznaczenia musiały być uwzględnio-

więcej niż reminiscencje historyczne czy ahistoryczne odnawianie.

Zewnętrzny renesansowi Warszawy towarzyszą bez wątpienia narodziny nowych uczuć i myśli jej mieszkańców — co więcej, uczucia te muszą stanowić nieodzowny warunek, poprzedzający odbudowę. Ale — jak to już była o tym mowa powyżej — zajrzeć do mózgów i serc znacznie jest trudniej, i wymaga to wiele dobrej woli. W cięru krótkich dni mego niedawnego pobytu w Warszawie rozmawiałem z wieloma jej mieszkańcami. Nie chcę przemilczać, że natykam się także i na niezadowolonych, którzy nie rozumieją trudności związanych z odrodzeniem Polski. Lecz uświadomieni stanowią znaczną większość, oni są dla kraju reprezentatywni i nie pozwoliliby sobie łatwo wydrzeć swych osiągnięć. Ich poziom życiowy rośnie z każdym dniem, wśród trudów, lecz także i wśród radości. I Festiwal Młodzieży im właśnie daje sposobność reprezentowania Polski orodzonej przed zbiorowiskiem międzynarodowym w takiej skali, jakiej Warszawa dotąd nigdy nie widziała.

Mówić o Festiwalu i o Warszawie jednym tchem — niełatwe to zadanie. Jeden temat łączy się ściśle z drugim, a przytem każdy jest rozdziałem osobnym, każdy stanowi ramę dla malowidła, które, po-

olską melodię. Najsilniejsze wrażenie wywarło na mnie bajeczne widowisko polskich tańców ludowych setek par, unoszących się nad soczystą murawą nowego stadionu. Polska zachwycała dziesiątki tysięcy przybyszów z całego świata eksperymentem, którego koncepcja artystyczna i doskonały kształt nie tylko były jedyne w swoim rodzaju, ale swym śmiałym nowatorstwem otwierały przed tańcem ludowym nieznane dotychczas możliwości. Na estradzie pod błękitnym niebem grupowały się pary tancerzy, w strojach, z których każdy reprezentował inną dzielnicę kraju. Zabawa zespołowa powstawała z kroków tanecznych poszczególnych grup, które przekazy-

wały każda swój regionalny sposób tańczenia sąsiedniej grupie, przejmując od niej jej krok; tak więc wśród ustawicznej wymiany wzorów tanecznych i naśladownictwa obcych motów powstało niezapomniane widowisko, stanowiące zarazem jedność i bogatą różnorodność.

Tego właśnie wrażenia — różnorodności i zarazem jedności — doznaje się wciąż od nowa podczas Festiwalu w Warszawie. Gdzie to widziałem, słyszałem, czułem najbardziej? Czyż ten amerykański chłopiec, który z chorągwią w ręku pełen zapалу przebiegł trawnik i stanął w czołówce delegacji radzieckiej, przez co tak pokrzyżował ułożony z góry program wymarszu poszczególnych narodowości, że przez dobry kwadrans szeregi przemieszały się całkowicie i amerykańsko-radzieckie zbratanie powtórzyło się wśród delegacji Francuzów i Wietnamczyków, Niemców i Polaków, obywateli Egiptu i Izraela — nie był podobny co mego przyjaciela Polaka, który zobaczył mnie po roku i ewidencja, objął mnie i uściśkał, ani trochę nie troszcząc się o to, że przecież, u licha, na terenie Biura Prasowego obowiązują całkiem inne przepisy i obyczaje?

Pierwszy dzień Festiwalu zbiegł się z rocznicą powstania w roku 1944. Wszędzie na ulicach Warszawy przechodził się obok tablic pamiątkowych, przybranych świeżymi kwiatami — dla uczczenia miejsc, w których polscy patrioci padli od kul hitlerowskich plutonów egzekucyjnych. Sądziłem, że ta zbieżność dnia poważnych wspomnień i dnia radosnej rzeczywistości stanie się okazją szczerzej wymiany myśli z polskimi przyjaciółmi na temat przeszłości. Ale doprowadziło do takiej rozmowy było mi trudno, niezmiernie trudno. Ludzie w Polsce, jak mi mówiono, są mało wylewni, oszczędni w wyrażaniu swych uczuć. Spostrzeżenie to, choć stojące w sprzeczności z ich ognistymi tańcami i pieśniami, jest w pewnej mierze trafne. Lecz właściwy powód tej rezerwy w rozmowach na temat przeszłości, jak mi się wydaje, tkwi gdzie indziej: Polacy myślą realnie, i właśnie dlatego świadomie dążą do przyjaźni ze swym sąsiadem. Przyjaźń ta jest szczerą i pozbawioną tłumionej nienawiści, nie możemy tego nie zauważyć po historycznych doświadczeniach Polski w stosunkach z nami i przy ogłoszaskach nacjonalistycznych wrzasków, dobiegających dziś i do nich

z Niemiec Zachodnich. Nieporuszone wjęc starych spraw jest podrykowane względami zarówno przyjacielskimi jak politycznymi — to proste, jasne i nie budzące nieporozumień. Ale my nie możemy miąć tych tablic pamiątkowych bez wstrząsu — dopiero wtedy nauczymy się rozumieć i cenić przyjaźń niemiecko-polską.

W dole, ulicę przed kilkunastopiętrowym wiewcem — hotelem „Warszawa”, w którym mieści się siedziba prasy zagranicznej — ciągną różnorodne grupki młodzieży. Chłopcy i dziewczęta usiłują naśladować taneczny a zarazem posuwisty krok, który wzbudził na stadionie tak wielki poklask dla przedstawicieli Afryki Środkowej — krok, będący kombinacją truchtu tanecznego i korowodu, w nieco zmienionej formie używany przez Bułgarię i Rumunię.

Młodzi hałasują, śmieją się z własnej niezręczności tak głośno, że ulice wokół zdają się być wypełnione tym śmiechem. Tak, rzeczywiście ulice są wypełnione śmiechem, pocałunkami, serdecznością przyjaźni między narodami, wszędzie obecnym poczuciem pokoju, który będzie chronił nowe domy Warszawy tak samo jak budowę nowego, wyzwolonego, młodzieńczego świata.

*

W trolejbusie na ulicy Pięknej zetknęliśmy się — moja towarzysza i ja — z ojcem dwóch chłopców, trzyletniego i pięcioletniego. Ładnie ubrane dzieci były — jak się wydało w rozmowie — ostatnim dwójgim z dziewięciorga potomstwa. Najmłodszego, którego ojciec trzymał za rączkę — jest „chrześniakiem” Bolesława Bieruta.

Jedliśmy razem czeresnie, których obecnie jest w Warszawie wielka obfitość. I zostaliśmy zaproszeni do domu — w nowym gmachu przy ulicy Marszałkowskiej. Zobaczyliśmy plakat festiwalowy, z widniejącą na nim fotografią najmłodszych dzieci elektrotechnika, który przyjął nas z taką swobodną serdecznością, że aż nam się ciepło na sercu zrobiło. To nowa Polska witała Niemca. Przeszłość nie została jeszcze pogrzebana, ale przyszła po niej terazniejszość, w której obywatela nasze narody mogą żyć i pracować, aby przygotować drogę do przyszłości, której gwiazdy już dziś ślą sw. światło.

Heinrich Goeres
redaktor naczelny
„Sonntags“



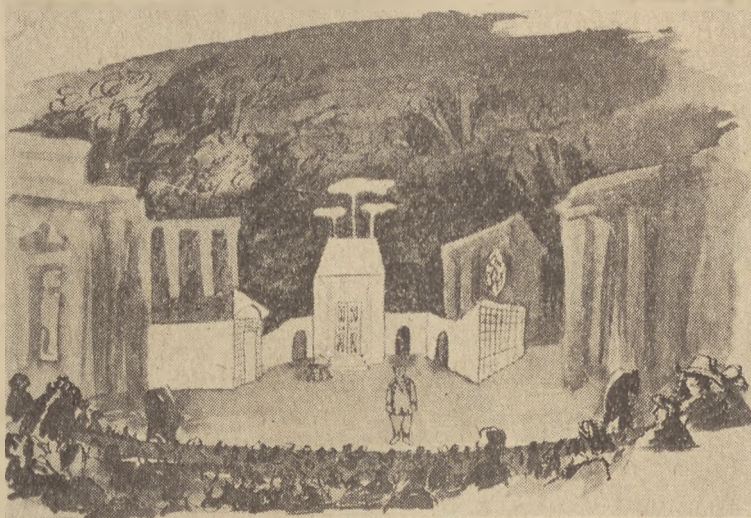
Rys. Pieter van Leeuwen

należy zapominać. Samo miasto, jego wyraz architektoniczny i urbanistyczny nasycają wiele sposobności do obserwacji — a po to, żeby zajrzeć do serc i mózgów jego mieszkańców trzeba czegoś więcej, samo włóczenie się po ulicach nie wystarczy.

Pierwsze wrażenie jest — krótko mówiąc — imponujące. Nowy rzut ulic, nowe budownictwo poprzedzały z pewnością liczne dyskusje, wysuwające takie czy inne zastrzeżenia. Przybyszowi, który widzi stan obecny, a nie był świadkiem procesu stawiania się i związanych z nim trudności, przede wszystkim rzuca się w oczy zakrojona na wielką skalę improwizacja założeń urbanistycznych, które w miarę lat osiągną trwałe znaczenie. Umiejętność gospodarowania starymi i nowymi elementami w ten sposób, ażeby powstało coś trzeciego, stanowiącego o indywidualnym piętynie, wydaje się być szczególną właściwością budowniczych Warszawy. A jeżeli nawet w niektórych sprawach błędono, błędy wynikały z ustawicznej sprzeczności między różnymi potrzebami a rosnącą świadomością.

Uderza wszakże istnienie syntezy. I dlatego właśnie nowoczesne budowle stojące obok gmachów historycznych, kamienice mieszczą-

ne, powstały zgrabne, subtelne i oryginalne formy przejściowe, prawie całkowicie wyzbyte eklektycznej niesamodzielności czy nudnego szablonu, powstało coś osobliwego,



Teatr Jacques Fabbri. Komedia Plaut-Santelli „Le Fantome“ w Teatrze na Wyspie w Łazienkach.

coś, co legitymuje się jako stara i nowa Warszawa jednocześnie, co jest podwaliną europejskiego miasta, które w przyszłości będzie pełne oryginalnego uroku. Tak więc smutek ruin zostaje złuzowany przez niecierpliwe i radosne oczekiwanie nowego, będącego czymś

dobnie jak obrazy renesansowe, zawiera mnóstwo szczegółów i szczegółików, a przytem wywiera fascynujące wrażenie jako całość.

Festiwal rozpoczął się wspaniałą uverturą, która brzmiała podobnie jak w Berlinie i w Bukareszcie, ale tu, w Warszawie, miała odrębną,

WERSZE FESTIWALOWE

PAUL WIENS

WARSZAWA

Trzem pokoleniom wojna
rozbiła życie, nadzieje
i czwarte pokolenie
miastu życie oddało.

Do nadchodzących pokoleń
Warszawa przyjaźnie się śmieje...
Lecz — kto wiek szczęścia odda,
które nie ocalało?

Przełożył Andrzej Wirth

ROMAN BRATNY

KARNWAŁ

Wszystkie słowa
ze wszystkich stron świata
podają sobie usta.
Całują się sztandary.

Deszcz w słońcu:
ot, plegowała pogoda.
Premier zapomniał włosów:
spójrz na twarz: młoda, młoda.

Pomnikowy Kopernik
wiruje ziemską kulą
— rozlewa ocean
w kolorze oranżady.

Noszą nad dziewczętami
jaskrawe parasolki.
A ja nad swoją niosę
kandelaar z MDM-u.

Szary filatelista
szaleje do świtan
— mówi, że dmą w piszczałki
znaczków pocztowych roje.

Wale wszystkich bogów świata
— para za parą.
„Bogowie wybierają”.
Spokojnie, Mahomecie,
czy był już „odbijany”?

I zaraz skoń o tyczce:
68 metrów.
Któż to zgłótkował księżyc?
Dziś anioł gra na skrzydle
w drużynie futbolowej!

Zamienmy się sercami
zamienmy się skórami
zamienmy się bogami
ludzie

FRANZ FÜHMANN

laureat Międzynarodowego Konkursu V-go Festiwalu Młodych

DROGA DO STALINGRADU

(Fragmenty poematu)

Kiedy pisałem wiersze w objętym płomieniami Charkowie,
w czarnej ruinie, w powietrzu bez skargi
niosącym popioły, w parnym deszczu nocy —
pisałem o klęsce, zagładzie, potopie, o próżnych
koinorach serca i szalonym bogu,
co bezmyślnie bujał w przestworzu —

byłem zdobywcą, oswobodzicielem

porządkującym Europę — musiałem pisać
o bohaterstwie i czerwonej jutrzni, o narodowych chorągwiach,
zatkniętych na nieczyjej ziemi, o aureolach zwycięstwa.
Lecz zwyciężeni śmiali się nawet w śmierci:
my zaś, zwycięzcy, podnosiliśmy wrzask,
nie dostrzegając nic, prócz
sęchłego zaduchu palonego mięsa
po tym, co zwało się zwycięstwem. I listu z poczty polowej.
I obwieszczenia, że Führer każdego
kto z frontu wschodniego powraca do Niemiec
obdarza paczką — dwa funty kielbasy i masła.
To dostrzegaliśmy. Lecz kiedy rozmowa
zeszła na przyszłość, milczeliśmy,
zwycięzcy bez wiary! —

I w rozpaczliwe

tłumaczenie strachu na dzwiczące śmiercią wiersze
wdarła się wieść o Stalingradzie. Zastygliśmy
w przerażeniu, młodzi Niemcy, w obliczu armii
wychodzącej na brzeg. I trwóźnie strzeżona
szła wokół wieść, i nikt nie pytał,
była tylko trwoga
i wspomnianie straszliwych czynów — i szept:
Biada nam, biada,
jeśli prysnie front, jeśli nadejdzie zemsta!
I nie słyszało się o dziejowej misji,
wyzwoleniu, o nowym porządku,
tylko szczerkanie ostrożnego lęku i miażdżących wszystko
młyńskich kamieni: Za nami i w nas
młodość, co runęła w barbarzyństwo, rozkład Niemiec;
— przed nami mściciele, łocząca się na zachód
tajemnica innego świata; i nasze wiersze
krążyły wokół klęski,
nieości i zgnilizny, a ich myśli tonęły
bezlilne jak kompanie
w otchłani śnieżnych,
rozległych grobów
Rosji...

Przekłeci i napiętnowani jako żołdacy barbarzyństwa
stajemy przed obliczem ludów.

Oto Związek Rad:

Podnosi się głos i mówi: nie urodzili się żołdakami;
nie na zawsze wypalone w ich sercu znamie barbarzyńców. Uwiedziono
Ich,

złowiono w sieć uroję i kłamstw:

Można ich wyzwolić. Szukali Niemiec:

Mogą je odnaleźć. Przysporzyli ludzkości niezmierzonych cierpień:

Mogą odpokutować! Falszywi prorocy, co sprowadzali ich na złą drogę,
ci powinni być sądzeni. Ale błądzący
niech zaczną żyć!

Oto jest Związek Rad:

W Stalingradzie, Mińsku, w Orle i Charkowie idziemy do pracy

i pracujemy dla Niemiec: Dano nam

zetrzeć hańbę, niegdyś barbarzyńcy,

dajemy przykład lepszych Niemiec,

uczymy się żyć, jak żyć można:

nie wegetacji, ślepego błędzenia, lecz

świadomego czynu dla ludu...

Przełożył Andrzej Wirth

ERNEST HEMINGWAY

Wzgórza podobne do białych słoni

Wzgórza po drugiej stronie doliny Ebro były rozległe i białe. Po tej stronie nie było cienia i drzew, dworzec stał w słońcu, pomiędzy dwoma liniami szyn. Tuż przy ścianie stacyjnego budynku kładł się ciepły cień, w otwartych drzwiach baru dla ochrony przed muchami wisiała zasłona z bambusowych paciorków. Amerykanin i dziewczyna, która z nim była, siedzieli w cieniu przy stole, na zewnątrz budynku. Było bardzo gorąco i ekspres z Barcelony miał przybyć za czterdzieści minut. Zatrzymywał się na tym przystanku dwie minuty i jechał dalej do Madrytu.

— Czego się napijemy? — zapytała dziewczyna. Zdjęła kapelusz i położyła go na stole.

— Jest dosyć gorąco — powiedział mężczyzna.

— Napijmy się piwa.

— Dos cervazas — powiedział mężczyzna w stronę zasłony.

— Duże? — spytała kobieta w drzwiach.

Dziewczyna patrzyła na zaslonę z paciorków. — Coś jest na niej namalowane — powiedziała. — Co to oznacza?

— Anis del Toro. Trunek.

— Możemy go spróbować?

— Mężczyzna zawołał „hallo“ poprzez zaslonę. Z baru wyszła kobieta.

— Cztery reale.

— My chcemy dwa Anis del Toro.

— Z wodą?

— Chcesz to z wodą?

— Nie wiem? — powiedziała dziewczyna. — Czy to dobre z wodą?

— Niezle.

— Czy chcecie je z wodą? — zapytała kobieta.

— Tak, z wodą.

— To smakuje jak lukrecja — powiedziała dziewczyna i postawiła szklankę.

— To tak ze wszystkim.

— Tak — powiedziała dziewczyna. — Wszystko smakuje jak lukrecja. Szczególnie wszystkie rzeczy, na które długo się czeka, jak absynt.

— Och, przestań.

— To są śliczne wzgórza — powiedziała. — W rzeczywistości nie są one podobne do białych słoni. Po prostu miałam na myśli barwę ich skóry poprzez drzewa.

— Napijemy się jeszcze?

— Dobrze.

Ciepły wiatr powiał zaslonę w stronę stołu.

— Piwo jest świetnie i chłodne — powiedział mężczyzna.

— Doskonale — powiedziała dziewczyna.

— To naprawdę strasznie prosta operacja, Jig — powiedział mężczyzna. — To w ogóle nie jest żadna operacja.

Dziewczyna patrzyła na ziemię, na której spoczywały nogi stołu.

— Wiem, że się tym nie przejmiesz, Jig. To naprawdę nic nie jest. To po prostu wypuszczenie powietrza do środka.

Dziewczyna nic nie powiedziała.

— Pojadę z tobą i zostanę z tobą przez cały czas. Po prostu wypuszczą ci trochę powietrza i potem wszystko będzie w porządku.

— Co będziemy potem robili?

— Potem będzie nam dobrze. Po

— jeżeli nie chcesz, to nie musisz. Nie chciałbym, żebyś robiła to, czego sobie nie życzysz. Ale wiem, że to jest zupełnie proste.

— I ty rzeczywiście chcesz?

— Myślę, że to najłatwiejsze co można zrobić. Ale nie chcę, żebyś to robiła, jeżeli rzeczywiście nie chcesz.

— A jeżeli to zrobię, będziesz szczęśliwy i wszystko będzie po staremu i będziesz mnie kochał?

— Kocham cię teraz. Ty wiesz, że cię kocham.

— Wiem. Ale jeżeli to zrobię, czy znowu będzie ładnie jeśli powiem, że coś jest podobne do białych słoni i będzie ci się to podobało?

— Będę to kochał. Kocham to teraz, ale po prostu nie mogę o tym myśleć. Ty wiesz, jaki jestem, kiedy się czymś dzieję?

— A jeżeli to zrobisz, to nigdy nie będziesz się grzęczył?

— Nie chcę się tym martwić, bo to jest zupełnie proste.

— To ja to zrobię. Bo ja nie dbam o siebie.

— Co masz na myśli?

— Nie dbam o siebie.

— Dobrze, ja dbam o ciebie.

— Och, tak. Ale ja nie dbam o siebie. Zrobię to i wtedy wszystko będzie dobrze.

— Nie chcę, żebyś to robiła, jeżeli w ten sposób myślisz.

Dziewczyna wstała i poszła na koniec stacji. Po drugiej stronie wzduż brzegów Ebro widniały lany zboż i drzewa. W dali, po drugiej stronie rzeki były góry. Cień chmury przesunął się przez pola i poprzez drzewa widziała rzekę.

— Moglibyśmy mieć to wszystko — powiedziała. — Moglibyśmy mieć wszystko i codziennie czynimy to bardziej niemożliwym.

— Coś powiedziała?

— Powiedziałam, że moglibyśmy mieć wszystko.

— Możemy mieć wszystko.

— Nie, nie możemy.

— Możemy mieć cały świat.

— Nie, nie możemy.

— Możemy wszędzie jechać.

— Nie, nie możemy. To już więcej nie jest nasze.

— Jest nasze.

— Nie, nie jest. Jak już raz to zabrali, nigdy się tego nie odzyska.

— Ależ nie zabrali tego.

— Poczekamy i zobaczymy.

— Chodź z powrotem w cień — powiedział. — Nie powinnas tego w ten sposób odczuwać.

— Nie odczuwam w żaden sposób — powiedziała dziewczyna. — po prostu znam się na rzeczy.

— Nie chcę żebyś coś robiła, czego sama nie chcesz robić.

— I co nie jest dla mnie dobre — powiedziała. — Ja wiem. Czy możemy się jeszcze napić piwa?

— W porządku. Ale musisz zrozumieć...

— Rozumiem — powiedziała dziewczyna. — Czy możemy przestać mówić.

Usiedli przy stole i dziewczyna patrzyła na przeciwległe wzgórza nad suchym stokiem doliny, mężczyzna patrzył na nią i na stół.

— Musisz zrozumieć — powiedział — że nie chcę żebyś to robiła, jeżeli sama nie chcesz. Jestem całkowicie zdecydowany pojsć na to, jeżeli to coś dla ciebie znaczy.

— Czy dla ciebie to nic nie znaczy? Damy sobie radę.

— Naturalnie, że znaczy. Ale nie chcę nikogo prócz ciebie. Nie chcę nikogo innego. I jestem pewny, że to jest zupełnie proste.

— Tak, ty wiesz, że to jest zupełnie proste.

— Możesz tak mówić. Ale ja na prawdę jestem tego pewien.

— Chciałbyś coś teraz dla mnie zrobić?

— Zrobiłbym wszystko dla ciebie.

— Czy mógłbyś, proszę proszę proszę proszę proszę przestać mówić?

Nic nie powiedział tylko patrzył na podróżne torby pod ścianą dworca. Widniały na nich nalepki z wszystkich hoteli, w których spędzili noc.

— Ale ja nie chcę żebyś to robiła — powiedział. — Wcale o to nie dbam.

— Będę krzyczeć — powiedziała dziewczyna.

Przez zaslonę wyszła kobieta z dwoma szklankami piwa i postawiła je na mokre filcowe podstawki.

— Pociąg przychodzi za pięć minut — powiedziała.

— Co ona powiedziała — zapytała dziewczyna.

— Ze pociąg przychodzi za pięć minut.

Dziewczyna w podziękowaniu uśmiechnęła się promiennie do kobiety.

Lepiej przeniosę bagaże na drugą stronę dworca — powiedział mężczyzna. Uśmiechnęła się do niego.

Dobrze. Potem wróc i skończymy piwo.

Podniósł dwie ciężkie torby podróżne i pomógł dookoła stacji na drugi tor. Patrzył na tor, lecz nie mógł dojrzeć pociągu. Wracając, przeszedł przez bar, gdzie ludzie, czekając na pociąg, pili. Wypił jednego Anis przy barze i przysiadł się ludziom. Wszyscy oni rozsądnie czekali na pociąg. Wszedł przez zaslonę z paciorków. Ona siedziała przy stole i uśmiechała się do niego.

Lepiej się czujesz? — zapytał.

Świetnie się czuję — powiedziała. — Nic mnie nie jest. Świetnie się czuję.

Ernest Hemingway

Przełożył Wacław Grabowski



Rys. Szymon Kobyliński

— Tak. Dwa duże.

Kobieta przyniosła dwie szklanki piwa i dwie filcowe podstawki. Postawiła podstawki i piwo na stole, i patrzyła na mężczyznę i kobietę. Dziewczyna wpatrywała się w linię wzgórz. Bielali w słońcu, okolica była brunatna i sucha.

— One wyglądają jak białe słonie — powiedziała.

— Nigdy nie widziałem białego słonia — mężczyzna pił swoje piwo.

— Nie, nie mogłem widzieć.

— Mogłem — powiedział mężczyzna. — To, że właśnie ty mówisz, że nie mogłem, niczego nie dowodzi.

— Tyś zaczął — powiedziała dziewczyna. — Ja się dobrze bawiłam. Wspaniale spędziłam czas.

— Dobrze, spróbujmy wspaniale spędzać czas.

— W porządku. Ja próbowałam. Powiedziałam, że góry wyglądają jak białe słonie. Czy to nie było mądre?

— Było mądre.

— Chciałam spróbować tego nowego trunku. Czyż wszystko to co robimy nie jest przylganiem się otoczeniu i próbowaniem nowych trunków?

— Przypuszczam.

Dziewczyna patrzyła na przeciwległe wzgórza.

prostu tak jak było nam przedtem.

— Dlaczego tak myślisz?

— Bo to jest jedyna rzecz, która nas dręczy. To jest jedyna rzecz, która nas uczyniła nieszczęśliwymi.

Dziewczyna patrzyła na zaslonę z paciorków, wyciągnęła rękę i ujęła dwa sznury paciorków.

— I ty myślisz, że potem będzie nam dobrze i będziemy szczęśliwi?

— Wiem, że będziemy. Nie potrzebujesz się obawiać. Znałem masę ludzi, którzy to zrobili.

— Ja też znalazłam — powiedziała dziewczyna. — I potem wszyscy oni byli tak szczęśliwi.

— Tak. — powiedział mężczyzna

Z OGÓLNOPOLSKIEJ
WYSTAWY
MŁODEJ PLASTYKI

Jerzy Tchórzewski. Szkic do Oświęcimia.



Izaak Celnikier. Getto.



Jan Chwałczyk. Milka.

STEFANIA BEYLIN

ANDERSEN



Hans Christian Andersen.

„Czyżbyś był już tylko śladem na bibule? Czy naprawdę umarłeś, Christianie?”
K. I. Gałczyński „Śmierć Andersena”.

Hans Christian Andersen chętnie i dużo pisał o sobie i swoim życiu, mimo to, na skutek olbrzymiej popularności jego utworów stały się one jak twórczość ludowa nieledwie anonimowe. Twórczość przesłoniła twórcę. W wielu utworach Andersena znajdują się liczne motywy oparte na autentycznych wydarzeniach, w listach do przyjaciół, dzienniku, wspomnieniach pisze drobniaczko o ludziach, faktach, nastrojach. Bogactwo materiału biograficznego zawarte jest w obszernej opowieści, zatytułowanej „Niezmierzona baśń mego życia”, napisanej w roku 1847. W okresie, kiedy poeta znajdował się w rozkwicie swojej twórczości.

Smutne dzieciństwo w comku wiejskiego szewca niedaleko Kopenhagi, ojciec, który siedząc przy warsztacie szewskim, marzy o tym, aby się kształcić i po którym mały Hans Christian odziedziczył wyobraźnię, wrażliwość, nerwowość i zamiłowania artystyczne, przedwczesna śmierć ojca, który po powrocie z wojny napoleońskiej zapadł na zdrowiu, postać matki, babki — wszystkie te osoby i obrazy ukazane są drobniaczko, wielu z jego bliskich zostało wyidealizowanych, wiele uczuć upiększonych.

W poszczególnych utworach Andersena odnaleźć można epizody dotyczące osoby i zdarzeń jakie w swojej autobiografii stara się raczej wybielić: smutne losy matki, która jako dziecko zmieszona była zebrakami (echa tego tragicznego dzieciństwa znajdujemy w „Dziwczynce z zaparkami”), epizody z późniejszego życia matki („Nie nie warta”, „Anna Lizbet”), choroba dziadka, ojca i wiele innych faktów, które utrwalił w swej twórczości, używając tych smutnych losów postaciom fikcyjnym.

Po smutnych obrazach dzieciństwa, które uprzyjemniał sobie odgrywanymi dramatycznymi scenami w skonstruowanym teatrzyku, opisuje w swoich wspomnieniach trudną młodość, kiedy to jako 14-letni chłopiec wyruszył w świat, aby szukać szczęścia w stolicy. Widzimy go w Kopenhadzie w roku 1819. w odświętnym ubranku, sprawionym na konfirmację, w drewnianych chodakach, z małym węzełkiem spakowanym przez matkę na drogę, samotnego w obcym, wielkim mieście.

Pierwsze ciężkie lata w Kopenhadzie — to głodowanie, daremne starania o jakiejkolwiek zahaczenie w teatrze, bezradność, zależność od wpływowych ludzi, daremne pukanie do ich drzwi. Upór młodziutkiego Hansa Christiana, jego silna wola i ambicja, aby nie wrócić z niczym do rodzinnej wsi sprawiły, że w życiu Andersena nastąpił zwrot. Radca Collin, według słów poety jedyną z najwybitniejszych osobistości ówczesnej Danii, dyrektor Królewskiego Teatru w Kopenhadzie, zajął się losami chłopca. Dzięki niemu przyszedł pisarz uzyskał wykształcenie i poparcie króla Fryderyka VI.

W wielu biografjach Andersena powtarza się zdanie, że z „szarego kaczątka wyrósł na pięknego łabędzie”. Ale ta właśnie przemiana w łabędzia nie odbywała się ani prosto, ani szybko. Sława przyszła nie z tej strony, skąd jej oczekiwał młody Hans Christian. Nie został sławnym aktorem ani głośnym autorem dramatycznym. Teatr, który go tak bardzo pociągał i który w latach trzydziestych ubiegłego wieku był tak ważną częścią życia stolicy i duńskiego mieszczaństwa, nie przysporzył sławy Andersenowi. Je-

go sztuki dramatyczne, wodewile i tragedie nie cieszyły się powodzeniem.

Lata trzydzieste i czterdzieste — to okres jego nasilonej twórczości. Częste wyjazdy zagranicę, obserwacja obcych krajów, obyczajów, stosunków, wszystko to wpływa na szybki rozwój talentu poety. Piszcie kolejno powieści: „Im rowizator” (1835), „Tyłko skrzypiek” (1837), „Ilustrowana książka bez obrazków” (1840) i autobiograficzna „Niezmierzona baśń mego życia” (1847). Staje się coraz bardziej znany i ceniony.

W roku 1835 ukazały się pierwsze tomiki baśni, zatytułowane: „Opowiedziane dla dzieci”. Słowo „opowiedziane” świadczy o tym, że autor chciał podkreślić nieliteracką prostotę swoich baśni. W roku 1843 ukazały się „Nowe baśnie”, o których pisał, że są przeznaczone dla dzieci i dla dorosłych. Te właśnie krótkie, fantastyczne opowiadania, co których z początku nie przywiązywał wielkiej wagi, zostały uznane za arcydzieła, stały się niewyczerpanym źródłem poezji. Były liiryką i dramaturgią, satyrą i fantastyką, tragedią i groteską.

Współcześni Andersenowi wspo-

minali, w jaki sposób opowiadał dzieciom swe bajki, zarówno już napisane i wydrukowane, jak i te, które układał na poczekaniu. Umiał tak operować konkretem, że najzwyklejsze zdania nabierały życia. Zamiast powiedzieć: „dzieci wsiadły na wóz i pojechali”, mówił: „Dzieci wsiadają na wóz. Do widzenia, tato, bądź zdrowa, mammo! Trzask bata, wio... Klap, klap, kłapią końskie kopyta... i pojechali”.

Sam poeta, autor — opowiadacz, ukazuje się w andersenowskich baśniach po raz kolejny inna postacią. Jest to albo student, który „wycinał takie śmieszne obrazki...” i „opowiadał takie piękne historie... wesół student...” („Kwiaty Idalki”). Albo miły starszek sąsiad, który „na co tylko spojrzal, przemieniało się w baśń” („Bzowa ba-buleńka”). Czasem duszek snu, który siadywał wieczorem na łóżkach małych dzieci i spał im w oczy piasek. („Ole Lukøje”).

Te istoty, będące na pograniczu rzeczywistości i fantastyki, pośredniczące pomiędzy światem dzieci a dorosłych, wyrosły z romantycznej baśni literackiej, w której rzeczywistość splata się mocno z fantastyką. Fantastyka baśni Andersena nie rodzi się gdzieś daleko, w nieokreślonym czasie, ale w dokładnie podanym na mapie miejscu i epoce. Cuda i czary wyrastają w codziennym życiu.

Choć pod tym względem bliski romantycznej szkole niemieckiej, gdzie fantastyczne sprawy działy się zawsze w konkretnym miejscu i czasie, Andersen idzie jeszcze znacznie dalej w kierunku realizmu. Na plan pierwszy wysuwa człowieka i jego sprawy. Tu właśnie oddala się od niesamowitej wizyjności współczesnego mu E. T. A. Hoffmanna.

Jest poetą Danii i z cudownością harmonijnie łączy piękno ojczyzniego krajobrazu. Wiernie odwziera ulice i place Kopenhagi, port królewski, wąskie portowe uliczki, bukowe duńskie lasy, zielone łąki, łany koniczyny, kizewy dzikiego bzu. Wrażliwy na piękno pór roku maluje obrazy mroźnej zimy i — z takim utęsknieniem oczekiwaną przez mieszkańców surową północ — rozkwitającą wiosnę.

Baśnie Andersena, ukazujące obrazy przeszłości historycznej, postaci duńskich bohaterów, jak np. Holgera Danske czy słynnego rzeźbiarza Thorwaldsena — przypominają ludowe pocania.

Wiele motywów, wyzyskanych w baśniach Andersena, zaczerpniętych zostało z twórczości ludowej. Nieublagana sprawiedliwość poetki nagradza wyzyskiwanych, prześladowanych, nieszczęśliwych, a karze okrutnych i złych. („Brzydkie kaczątka”, „Duży i mały Klaus”, „Calineczka”, „Dzikie łabędzie”, „Gryka” i wiele innych). Z ludowej baśni wyrosli wszyscy mali bohaterowie, bliscy krewni Kopciuszka i głupiego Jasia, który sprytem zdobywa rękę księżniczki. Te zapożyczone z twórczości ludowej wątki zetknęły się u Andersena z jego własnymi przeżyciami. Miłość pokrzywdzonych ma obok wpływów ludowych — literackich swoje źródło w jego własnym dzieciństwie i młodości, pełnej poniżeń i upokorzeń. Z ludowej baśni przedostali się co twórczości Andersena również królówie i królowe, księżniczki, damy dworu i dworzanie. Stanowią oni u Andersena dziwną mieszaninę ludowości z ujęciem satyrycznym.

Leopold Magon, wydawca zbiorowego wydania baśni Andersena (Lipsk 1953) słusznie zaznacza, że ci wyśmiani królówie i wyszydzone księżniczki przypominają bohaterów włosko — francuskich powiastek o siemnastego wieku.

Zarówno słynny władca, właści-

ciel szat, których wcale nie było, jak cesarz chiński, który wygnał żywego słowika dla sztucznej pozytywki, księżniczka, która otoczona murem dam dworu, całowała świniopasa i całe zastępy platynych dworzan. przypochlebiających się swym panom — to zgraja głupców, nieuków i snobów.

Satyra andersenowska miała swo-

je źródło w rzeczywistości społeczeństwa duńskiego połowy dziewiętnastego wieku. Ironiczne spojrzenie na królów nie przeszkadzało jednak Andersenowi w uleganiu patriarchalnemu złudzeniu. W okresie tym w Danii zaczyna się za-lamywać absolutyzm, a wraz z nim i wiara w jego potęgę i skuteczność. Ale pokutuje jeszcze i w samym mieszczaństwie tęsknota do dawnych, wyidealizowanych stosunków patriarchalno — feudalnych. Sprzecznosc ta znajduje swoje odbicie w twórczości Andersena, który będąc w żałyłej przyjaźni z rodziną radcy Collina i korzystając z jego wstawieństwa, osobiście korzystał z poparcia króla Fryderyka VI.

Podkreślając wielokrotnie, że jego baśnie pisane są nie tylko dla dzieci, ma jednak Andersen na myśli przede wszystkim ów satyryczny charakter swoich utworów. Ta pełna ironii satyra, ukazująca w krzywym zwierciadle śmieszności i wady przedstawicieli społeczeństwa duńskiego, dla współczesnych Andersena krytyków stawała się niejednokrotnie kamieniem obrazy.

Jeden z pierwszych krytyków utworów Andersena, pisarka angielska Mary Russell Mitford, uderzy-

Charakteryzując jakieś stworzenie, wywołuje autor niezownany efekt komizny za pomocą porównania. O starym, tłustym mopsiku mówi jego właścicielka: „On nie gryzie, jest jak ktoś z rodziny — wierny i zły” („Serdusze zmar-twienie”).

Martwe przedmioty, które w baśniach Andersena żyją i myślą jak ludzie, przedstawione są również z humorem poprzez ironiczne spojrzenie autora. Sentyment przeplata się z dowcipem. Wzruszające są czynie latarni ulicznej, która po wielu latach służby musiała przejść w stan spoczynku i czuła się jak stara baletnica, tańcząca po raz ostatni. Bawi nas balwan ze śniegu, który zakochał się nieszczęśliwie w żelaznym piecyku i na temat swej miłości prowadzi długie filozoficzne rozmowy z doświadczoneym psem podwórzowym. Śmieszny nas dumna igła do cerowania, która wmawia sobie, że jest wytworną igłą do szycia. Bawią nas towarzyskie rozmowy, jakie garnki kuchenne prowadzą z zaparkami. Myślą, mówią i czują jak ludzkie papierowe lalki, porcelanowe figurki, rośliny.

Olbrzymia popularność utworów Andersena, niezliczone ilości wy-



Mała Syrena w Kopenhadzie.

ła na alarm, zarzucając poecie duńskiemu niemoralność. Jako przykład podaje baśń „Krzesiwo”, w której pies zanosi na swoim grzbiecie śpiącą księżniczkę do żołnierza, i którą ów żołnierz całuje. „Czyż ta przygoda może wpłynąć dodatnio na rozwijanie w dziecku uczucia skromności?” — pyta angielska literatka. „I czy czytanie o tym, jak duży Klaus po zamordowaniu własnej babki zostaje z kolei zamordowany przez małego Klauza, a wszystko razem opowiedziane tak, jakby chodziło o zarznięcie krowy, może dodatnio wpłynąć na rozbudzenie w dziecku poszanowania ludzkiego życia?”. Niemoralna wydaje się również współczesnemu krytykowi scena, gdzie gospodyni w tajemnicy przed mężem czuje się smakolymkami organiste i bajka o „Księżniczce na ziarnku grochu”, która uczy, że „dama wysokiego urodzenia jest przesadnie wrażliwa”. Na zakończenie wyraża nadzieję, że „utalentowany poeta nie będzie marnował cennego czasu na pisanie bajek dla dzieci”.

Kpiący ton w stosunku do baśniowych bohaterów, szczególnie z codziennego życia wraz z efektem komiznym przyczyniają się do uwypuklenia realizmu jego opowieści. Cesarz chiński każe całemu dworowi deptać po brzuchu „I to zaraz po kolacji” („Słowik”). Oswobodzonej wronie („Królowa śniegu”) robi się niedobrze, gdy podróżuje tyłem do koni. Dworzanie, rehot zab biorą za śpiew słowika.

Nadawanie zwierzętom ludzkich cech, wywodzące się z prastarego eposu zwierzęcego, ma u Andersena swoją specyficzną, jemu tylko właściwą wymowę. Odchodzi on daleko od utartej symboliki chytrego lisa czy oważnego lwa. Kury w kurniki, które z jednego niewinnego zdania zbudowały cały gmach kłamstwa — to małomiasteczkowe paniusie-plotkary („Pewna wiadomość”). Kwoka woli rodzimą kapustę i dół z piaskiem, niż dalekie podróże do egzotycznych krajów, bo przecież „w górach chodzi się do góry po to tylko, aby zejść na dół” („Ole Lukøje”).

borów dla dzieci, adaptacji scenicznych przyczyniły się jednak do wulgaryzacji twórczości duńskiego baśniopisarza. Zjawilo się wielu naśladowców andersenowskiej tematyki. Ozy łanie martwych przedmiotów, rozmowy lalek, porcelanowych figurek i kwiatów zatraciły niewysłowiony czar sentymentalno — ironiczny tak bardzo właściwy duńskiemu poecie. Balety w secesyjnym guście, modne u schyłku dziewiętnastego i początkach dwudziestego stulecia, podkreślały jedynie najbardziej zewnętrzne akcesoria fantastyki. Pantominy, filmy fantastyczne, zapożyczając od Andersena motyw ożywiania martwych przedmiotów, zagubili całkowicie satyrę i humor duńskiego twórcy, zagubili również jego poezję. Podobnie były losy baśni ludowej, której poszczególne wątki, wędrując latami, ulegały często zwulgarzowaniu i służyły gustom mieszczańskim, jak np. baśń o Kopciuszku czy Śpiącej królewnie.

Biograf Andersena, Karl Larsen, pisząc o niezwykłej wprost popularności duńskiego twórcy, o przekładach ledwie że nie na wszystkich językach świata, o ilustracjach licznych malarzy i grafików, o tyśiącznych wyborach dla dzieci i młodzieży — podaje jako przykład jedną z najbardziej popularnych andersenowskich baśni pt. „Historia o matce”. Ta wzruszająca opowieść o matce, która na próżno usiłowała wydrzeć swoje dziecko śmierci, została w każdym kraju inaczej zilustrowana. W duńskim oryginalne baśni matka przedstawiona jest jako kopenhaska mieszkanka z połowy dziewiętnastego stulecia, w przekładzie bretońskim jako kobieta z lugu bretońskiego, ilustrator lański w przekładzie hinduskim uwiecznił obraz matki, jako Hinduśki w narodowym stroju, w kołcach i bransoletach.

Każdy naród ma swoje własne wyobrażenia o andersenowskich bohaterach. I nie będzie to frazesem, jeżeli powiemy, że baśnie Andersena stały się własnością wszystkich narodów.

Stefania Beylin



Dom poety w Odensee.



Garcia Bustos (Meksyk). Z cyklu „Gwatemala”.

Z Między- narodowej Wystawy Młodej Plastyki

Warszawa, sierpień 1955



Maria Luiza Martin (Hiszpania). Pokój i przyjaźń.



Ruth Schlus (Izrael). Uczennica.



Jiro Takidaira (Japonia). Chłopi z okręgu Tohoku.



Czu Czang-ku (Chiny). Dwa jagnięta.



Pranab Makherji (Indie). Chłopcy na bawołach.



Renina Katz (Brazylia). Ilustracje do książek J. Amado.